

JERZY TRELA O AKTORSTWIE, PRZEMIJANIU I ROSOLE

Byłem Bogiem i Stalinem

Aktor ma być zdrowy i grać, niezależnie, czy ma zapalenie płuc, czy jąder. Widza nie obchodzi, co mu dolega; może współczuć aktorowi jako postaci, ale nie może się zastanawiać nad tym, czy aktor się przewróci na scenie – mówi aktor **JERZY TRELA**

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL

JERZY TRELA: O rosole chcę porozmawiać.

JACEK TOMCZUK: A ja o przemijaniu.

– Co tu gadać. Skończyła się zima, zaczyna wiosna.

Skończył pan 75 lat.

– Tu boli, tam łupie, ale aktor nie może się skarżyć. Aktor ma być zdrowy i wychodzić na scenę, niezależnie, czy ma zapalenie płuc, czy jąder. Widza nie obchodzi, co mu dolega. Ciężko chory, wręcz umierający Henryk Bista trzymał swoją chorobę w tajemnicy. Do teatru przyjeżdżał ze szpitala. Któregoś dnia już po prostu nie przyjechał. Nikt o jego chorobie nie wiedział.

Gra pan silnego?

– Jak mnie pytają, skąd mam siłę, to odpowiadam: z bejsiły. Gram „Rozmowy z diabłem” Leszka Kołakowskiego, monodram, który sobie wymyśliłem parę lat temu, a wyreżyserował Krzysztof Jasiński. Zdarzają się wieczory, kiedy źle się czuję, wydaje mi się, że nie dam rady. Ale właśnie teraz, kiedy jestem na finalnym etapie życia zawodowego, jak wchodzę na scenę, odżywam. Jest coś takiego, że adrenalina, napię-





cie zakodowały się w ciele, przecież niczego innego w życiu nie robiłem tak długo. Dzisiaj granie jest dla mnie lekarstwem na proces starzenia się. Jak już zacznę, to mnie niesie. Odczuwam radość, że płynę – z widzem; że jestem z nim, ciągnę go. Zresztą Kołakowski to widział, był na spektaklu. Siedział w pierwszym rzędzie, z laską, wychylony do przodu mało na mnie nie wlaź, czułem, że gra razem ze mną.

Starość to dla aktora wstydlivy temat?

– Myślę, że dla każdego! Starość mobilizuje mnie do wyjścia na próbę, nauczenia się tekstu, zagrania spektaklu. Gdybym nie miał takiego przymusu wewnętrznego, to może bym się poddał, ale jak się schodzi całkiem ze sceny, to wtedy szybko się umiera. Wielki Jerzy Jarocki według medycyny nie powinien żyć od 20 lat. Schorowany, prawie niewidzący, przechodził na czerwonym świetle, bo już nie rozróżniał kolorów. Ale gdy zaczynał próby do kolejnych spektakli, to w teatrze odzyskiwał ostrość widzenia.

Podobno aktorzy nie odczuwają bólu na scenie?

– Kiedyś przyznałem mu się, że trenowałem judo i wiem, jak upadać. To prawie w każdym przedstawieniu u Jarockiego miałem scenę widowiskowego spadania: z drzewa, stołu, szafy. Thukłem sobą o deski. Przez lata.

Jak zaczynaliśmy w 1973 r. grać „Dziady” Konrada Swinarskiego, Jurek Stuhr był szczupłym chłopcem. Ja jako Konrad przerzucałem go przez plecy, co było dużym wysiłkiem. Tyle że on z roku na rok był cięższy i kiedy graliśmy ostatnie spektakle, ważył prawie dwa razy więcej niż na premierze. A ja byłem o 11 lat starszy. No i dziś noszę na sobie te wszystkie stłuczenia.

Z wiekiem gra się inaczej?

– Jestem z wiekiem bardziej uważny. Dawniej mniej się zastanawiałem nad tym, co robię. Po prostu grałem.

Rośnie poczucie odpowiedzialności?

– Muszę mierzyć siły na zamiary. Tadeusz Łomnicki nie dożył mojego wieku, zmarł na scenie podczas prób „Króla

Leara”. A przecież wiedział chyba wszystko na temat i Leara, i aktorstwa. Ale organizm nie wytrzymał.

Zagraliście tylko raz, w pamiętnym „Stalinie” Kazimierza Kutza.

– Fascynowałem się nim od lat, jako student byłem z kolegami na spektaklu „Pamiętnik szubrawca” w 1965 roku, gdzie grał z Tadeuszem Fijewskim. Po przedstawieniu klęczeliśmy pod jego garderobą.

W 1991 r. spotkałem go w Krakowie, mówił, że jedzie do Białki na wakacje, zabiera świetny tekst, musi się przygotować, bo jesienią gra w Teatrze Telewizji. Parę miesięcy później dzwoni Kutz: ratuj. Okazało się, że aktor, który miał partnerować Łomnickiemu, musiał gdzieś wyjechać.

Miałem zagrać wszechpotężnego Stalina, a on przestraszonego aktora. Dostałem 204 strony tekstu i kilkanaście dni na przygotowanie. Pierwszego dnia na planie po prostu bałem się Łomnickiego, był perfekcyjnie przygotowany, a przecież w spektaklu to ja miałem panować nad nim. Chciałem uciec, ale wiedziałem, że jak rozwalę spektakl dwóm takim facetom jak Kutz i Łomnicki, to w polskim teatrze jestem już spalony.

Kazik mnie ciągle uspokajał, a ja szukałem sposobu, jak zapanować nad Łomnickim. Na trzeci dzień przychodzi Kutz i szepcze: „Jurek, jest dobrze. Tadeusz przyszedł do mnie i mówi: Kaziu, ja się go zaczynam bać”. Od tego momentu już wiedziałem, co robić.

Wyobraża pan sobie życie bez aktorstwa?

– W moim wieku Gustaw Holoubek już zrezygnował z grania. Gdy spytałem go dlaczego, odpowiedział, że już nie może zagrać tego, co by chciał. A to, co mu proponują, go nie interesuje. Zajął się reżyserią. Po kilku latach od naszej rozmowy namówiony przez Macieja Prusa zgodził się wziąć udział w „Wyzwoleniu” w Teatrze Telewizji. Grał Starego Aktora, a ja Reżysera. Był bardzo przejęty, wiedział, że nie ma już sił. Ale zagrał wspaniale. Jak człowiek jest słaby, to zastanawia się, czy da radę przejść o własnych siłach przez Rynek. To samo z wejściem na scenę. To jest ten sam lęk.

A ma pan taki lęk?



„Żyłem przez 50 lat w świecie iluzji: postaci literackich, fikcyjnych. O tym, że istnieje życie poza teatrem, że jest morze, las, drzewa, piasek, dowiadywałem się podczas urlopu

– Jeszcze nie. Ale wiem, że to nastąpi. Zdarzało mi się patrzeć na starych aktorów na scenie i było mi ich żal, widziałem, jak się męczą. Niektórzy musieli to robić, by z czegoś żyć. Inni stali tam, bo aktorstwo to nałóg. I ja, jako aktor, to rozumiem, ale widzę już nie musi. On może współczuć aktorowi jako postaci, ale nie może się zastanawiać, czy aktor da radę dojść do kulis, czy się przewróci na scenie. Widziałem benefis jednego z wybitnych aktorów, który odtwarzał swoje dawne role. To, co robił kiedyś genialnie, teraz wyglądało żałośnie, bo nie miał tej sprężystości, płynności ruchu, oddechu; jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Pomyślałem wtedy, że nie mogę do tego doprowa-

dzić. Ludzie mówią mi: pan będzie grał do końca życia. Tak, ale muszę dokonywać wyboru: co mogę grać, żeby grać do końca.

Żał panu było odchodzić ze Starego?

– Tam był mój dom. W Starym spędziłem więcej czasu niż we własnym. Ale są sytuacje, w których trzeba się pożegnać ze swoją miłością. Nie mogę narzekać, że byłem niespełniony w tym teatrze. Zrobiłem tam tyle, że można by obdzielić kilku aktorów. Choć miałem wiele okazji, żeby odejść wcześniej. Przez lata Zygmunt Hübner namawiał, żebym przyszedł do Warszawy, do Powszechnego. Zawsze argumentem była obietnica nie tylko ról, ale i mieszkania. Pod koniec lat 70. nagrywaliśmy „Kartotekę” dla Teatru Telewizji w reżyserii Kiesłowskiego. Siedzimy w przerwie, jemy zupę grzybową, pyszną, i Hübner znowu zaczyna: – Panie Jurku, mam ostatnie mieszkanie, na Sadybie. Ostatni dzwonek. Ja zaczynam się wykręcać, a Gustaw Holoubek, wówczas dyrektor Teatru Dramatycznego, podnosi głowę znad talerza i z tym swoim przenikliwym spojrzeniem mówi: – Panie Jerzy, jeżeli pan nie chce mieszkania Zygmunta na Sadybie, to ja mam na Starówce.

Ale mieliśmy rozmawiać o rosole.

To słucham.

– No właśnie... Ale jednak chciałbym jeszcze o teatrze, w którym jest coraz więcej rzeczy powierzchownych, niedomyślnych. Młodzi żyją w wielkim pędzie, są skazani na najrozmaitsze błyskotki, które ich wciągają, i to się przenosi na teatr. A tworzyć trzeba powoli, dogłębnie i ze zrozumieniem. Reżyserzy z mojego pokolenia robili przedstawienia czasem wybitnie artystycznie, czasem nieudane – ale zawsze zawodowe. A teraz widzę raz teatr, który jest błyskiem, olśnieniem, a w innym miejscu jakieś dno. Aktorzy często nie wiedzą, co grają.

Miało być o rosole...

– Jeszcze chwila. To samo w polityce. W natłoku tej pseudopowagi polityków i lęku dużej części społeczeństwa zaczynam oddzielać to, co ważne, od fałszu, obłudy, zakłamania. I jak na to wszystko patrzę, to mam ochotę na najnormalniejszy rosół. Prosty, czyściutki, smaczny, którego smak przebiłby wszystko: politykę, wszystkie wojny w teatrze, co wol-

no na scenie pokazać, a czego nie wolno, kto przekroczył granicę, a kto jeszcze nie. Tyle rzeczy wokół jest sztucznie kreowanych, nie wiadomo po co... Coraz bardziej uzmysławiam sobie, że życie składa się z czegoś innego, z drobiazgów, a my z tego nie zdajemy sobie sprawy.

Przez lata nie zwracał pan uwagi na taką prozę życia jak smaki?

– Byłem przyzwyczajony od dzieciństwa, że jedzenie to tylko paliwo dla ciała. Pamiętam zupełną zacierkową pod koniec wojny, kiedy nie było już nic. Później matka miała swoją knajpkę, ojciec był kolejajarzem. Zanim zginął w wypadku, powodowało się nam dobrze. W każdą niedzielę był prawdziwy rosół. Potem matce zabrali interes, zaczęła się proza życia. Gdy miałem 13 lat, wujek zabrał mnie do Wrocławia, ale źle się tam czułem, bo wszyscy zaciągali z lwowska, a ja miałem mocny bronowicko-góralsko-krakowski akcent i każdy trochę się z niego naśmiewał. Uciekłem do liceum plastycznego w Krakowie.

Ale do mamy jeździłem zawsze. Wiele lat później, będąc już w teatrze, po ciężkim sezonie zabrałem tam Jurka Bińczyckiego. Przez tydzień postanowiliśmy odpocząć, odżywić się i nie pić alkoholu. Nie odzywaliśmy się do siebie, chodziliśmy smętnie. Z nudów zrobiliśmy wędkę i poszliśmy z dziećmi na ryby. Po dwóch godzinach złapaliśmy jednego raka. Bińczycki skądś wiedział, że raki idą do nadpsutej wątroby cielej. Mama przyniosła świeżą, wyrzuciliśmy na słońce, żeby podgniła. Założyliśmy siatki i złapaliśmy 64 raki. Dzieci śpią, a my siedzimy przy stole, jemy raki i gramy w kości, nudno, wreszcie Bińczycki pyta: nie ma tu jakiejś meliny?

Szybciutko powiedziałem, że jest, bo tak czekałem na to pytanie od tygodnia.

To może byśmy wypili do tych raków pół litra? No to pobiegłem. Wypiliśmy litr spirytusu i nie mieliśmy żadnego kaca. Nie wiem, czy to dlatego, że do tych raków...

Zawsze najważniejsza była praca?

– Wczoraj czytałem dla młodzieży uniwersyteckiej tekst papieża Franciszka o współczesnych chorobach. Jedna była dokładnie o mnie. Że trzeba znaleźć czas na odpoczynek, zobaczenie świata wokół siebie. Przecież ja żyłem przez 50 lat

w świecie iluzji: postaci literackich, fikcyjnych. O tym, że istnieje życie poza teatrem, że jest morze, las, drzewa, piasek, dowiadywałem się podczas urlopu. I to nie od razu – dopiero po kilku dniach, gdy już trzeba było wracać.

Pamiętam, jak niedawno moja zmarła żona w stanie wojennym trafiła do szpitala na sześć tygodni, a ja musiałem się zająć dziećmi. Ale grałem w teatrze. Po powrocie zawsze zastawałem je, jak siedzą w kucki pod drzwiami i czekają. W nocy robiłem im coś do jedzenia, najczęściej omlety. Do dzisiaj wspominają, że takie smaczne. Może dlatego, że musiały na nie czekać cały dzień.

Tracił pan życie przez lata pracy?

– Całe życie praca była sensem istnienia. Nie potrafię inaczej żyć. Kiedy mam dzień, w którym nie gram albo nie próbuję, to nie wiem, co mam robić. Chodzę jak ogłupiały, mam poczucie uciekającego czasu.

„Jak się gra Boga? Boga się nie gra, Bogiem trzeba być

Dlatego tyle pan teraz pracuje?

– Propozycji grania to mam dużo, ale chcę grać to, co będzie mnie cieszyło, przy czym sam doznam olśnienia i będę mógł to przekazać innym. Gram w czterech przedstawieniach w Teatrze Stu. Pasjonuje mnie teraz „Matka odchodzi” Tadeusza Różewicza. Z Krzysztofem Jasińskim przygotowujemy się do Szekspira.

Ostatnio wziął pan udział w nagrywaniu Biblii. Jak się gra Boga?

– Boga się nie gra, Bogiem trzeba być. Przez 20 dni sam siedziałem w studiu i czytałem, jak Bóg ze Starego Testamentu wymyśla najrozmaitsze tortury. W słowie musiałem dać mu nadprzyrodzoną siłę i okrucieństwo, wymaga to wielkiej koncentracji i wysiłku.

Nie chce pan zagrać czegoś lżejszego?

– Chcę, lubiłem grać Bimbę, drwala w „Rozmowach przy wycinaniu lasu” Sta-

niława Tyma. Kiedyś wziąłem na to syna, miał 8 lat. Posadziłem go w pierwszym rzędzie, by mieć go na oku. W pewnym momencie patrzę, a jego nie ma. Tak się śmiał, że spadł z fotela i leżał pod sceną. Zresztą ta rola kosztowała mnie dłuższe czekanie na mieszkanie. Wiceprezes spółdzielni mieszkaniowej w Krakowie był teatromanem, przychodził do Starego. I któregoś razu spotykam go na ulicy. Zwykle witał mnie radośnie, a teraz coś milczący. – Byłem wczoraj w teatrze u pana – mówi. A graliśmy „Rozmowy...”. I ja, jak na próżnego aktora przystało, pytam: „I jak się panu podobało?”. – Panie Jerzy, jak pan może robić idiotę z siebie? On mnie chciał widzieć tylko jako Konrada czy Raskolnikowa, a ja lubiłem tamten spektakl Tyma, bo po nim wychodziłem z teatru wypoczęty. No i później dwa lata dłużej czekałem na mieszkanie.

No, bo jednak najsłynniejsze role robił pan w repertuarze niekomediowym.

– Lżejszy repertuar to rodzaj psychicznej higieny i dla mnie, i publiczności. Teraz mam ochotę się pobawić. Przygotowuję coś z Anną Polony, tak dla relaksu.

Ale ostatnio dostaję propozycje nakręcenia spotów dla różnych kampanii społecznych. Jeżeli chodzi o dzieci, jestem do dyspozycji. Jednak często odbieram telefony z prośbami, bym wystąpił w spotach o starości i umieraniu. Kilka takich zrobiłem, ale mam już dość starości i umierania, wystarczy. Bo ja jestem żywy jeszcze.

Dzwonię do pana jednego dnia, a pan w Katowicach kręci film ze studentami.

Kilka dni później zastaję pana w Szczawnicy na spotkaniu z młodzieżą. Chce się panu?

– Młodzi ludzie są zwierciadłem mojego pokolenia. Jeżeli ktoś narzeka, że są jacyś skrzywieni, to nie jest ich wina, tylko nasza. Dlatego jak dzwonią, to staram się im pomagać. To moja powinność.

A teraz idę na rosół. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

JERZY TRELA (UR. 1942 R.) JEST AKTOREM TEATRALNYM I FILMOWYM. PRZEZ PRAWIE 40 LAT ZWIĄZANY ZE STARYM TEATREM W KRAKOWIE. PROFESOR I WYKŁADOWCA KRAKOWSKIEJ PWST, W LATACH 1984-1990, BYŁ JEJ REKTOREM